

Dariusz Tomasz Lebioda

Metafizyka ciała

Sztuka Jacka Strzeleckiego rodzi się z najwyższych ambicji artystycznych, w których naczelnymi kierunkami eksploracji są filozofia, mit i antropologia. Artysta tworzy niezwykle monumentalizację mające walor rzeźbiarski i jakże odkrywcze malarsko, czy rysowniczo, pełne zaskakujących rozwiązań formalnych i treściowych. To są ważne próby dopowiedzenia nowych sensów do ludzkich kształtów i wymiarów, wskazania kontekstów istnienia, które pełne jest bólu i tylko na chwilę wydostaje się z mroku, z ciemnych, walorowo rozmytych tła. Ukazując ludzkie ciało stylizowane na wzór rzeźb greckich i rzymskich, artysta tworzy apoteozę siły i walki o kształt, ale jednocześnie ukazuje kruchość bytu, chwilowość egzystencji, temporalność wszelkich rosnących i rozpadających się struktur. Ta osobowa gigantomachia została swością upozowana, co podkreślają laserunki szat, najczęściej rozmywających się w błękitach, ale czasem jaskrawych, jak u wielkich malarzy schyłku średniowiecza i początków renesansu. Tak poszczególne dzieła układają się w ciąg refleksowych odsłon ciała pojawiającego się nagle w przestrzeni, dochodzącego w sile i ciężkości do stadium finalnego, a potem powoli, bezpowrotnie osuwającego się w nicość i proch. To jest antropologia ściśle ukierunkowana, wskazująca ruch w czasie, przesuwanie się ku celom nieuchronnym, a zarazem sztuka ocalająca, odzwierciedlająca to, co się wydarzyło i znalazło swój kształt w nieustannie deformującej się rzeczywistości. Dlatego uwznioślenie sąsiaduje tutaj z rozpaczą, a kalektwo z uskrzydleniem, moment uspokojenia ze stale toczącą się wojną – to jest bolesne dokumentowanie chwili nieuchronnie tonącej w wieczności, znajdującej swoją integralną część w czymś, co jest nie do ogarnięcia myślą

w kształtowaniu się świata podczas pierwszych kosmogonii. Ta sztuka rodzi się z głębokiego namysłu nad człowiekiem, ale nie mogłaby zaistnieć, gdyby autor nie miał rozległej wiedzy filozoficznej i artystycznej, gdyby głęboko nie przeżył rzeczywistości w jej kontrapunktowych odsłonach – od bólu do ekstazy, od rany do uzdrowienia.

Strzelecki przypomina, że po odrzuceniu szat jesteśmy nadzy i stajemy się w mniejszym lub większym stopniu antycznymi rzeźbami herosów, bogiń i muskularnie ukształtowanych wojowników. Przynajmniej takie ludzkie kształty są w nas potencjalne, tak nas widziała sztuka od wieków, we wszelkich jej realizacjach i odmianach, za każdym razem dopowiadając coś istotnego dla zrozumienia fenomenu ludzkości. Tutaj ciało wyłania się z materii przypominającej rysunek żył marmuru, powierzchnię nadpalonego drewna, albo rozmycie energetycznych struktur galaktyki.



Tak artysta miesza żywość i kruchość ustawia w opozycji do twardości, ciężar po przeciwległej stronie lekkości, płynność walorów naprzeciw zastygnięcia barw podstawowych. Ciało jest fenomenem samo w sobie, a jego kształt nie zmienił się od wieków, będąc natchnieniem dla malarzy i poetów, stając się obiektem żarliwej miłości kochanków, albo mrocznym marzeniem morderców. Pełniąc swoje użyteczne funkcje, nie przestało zachwycać formą rozbudowanej muskulatury, ale też i przerażać w odmianach rozpasanych, z monstrualnymi nawisami tłuszczowymi. Widać, że przedstawienia artysty powstawały w wielkim zapamiętaniu, w efektywnym natężeniu energii twórczych, co podkreślać mają strużki farby pozostawione celowo na płótnach czy papierze, stające się wizualnym znakiem głębi tego, co znalazło się poza nimi.

Podobną rolę pełnią jaskrawe barwy szat, jakby udrapowanych od niechcenia, jakby tworzących chwilową przestrzeń opozycyjną. Centrum jest ciało w jego gigantycznym wymiarze, nośnik erotyzmu i piękna, prawzór kształtów idealnych, zastygających w rzeźbie, między ramami obrazu, na

przedstawieniu papierowym. Samo w sobie będące kosmosem, składające się z rurek i błonek, a jednocześnie otwierające się na wszechświat, którego jest integralnym tworem.

Warto też wskazać w tym dorobku dzieła, w których pojawia się nieomal metafizyczny ból, przerażające zdruzgotanie ciała, natychmiast przeistaczającego się w martwą materię. To śmierć za życia i zapowiedź ostatecznego rozpadu, to przypomnienie, że jesteśmy organiczni, ożywiani tylko tlenem, transportowanym w żyłach przez żelazo i żyjemy dzięki nieustannie dostarczczanym dawkom cukru, minerałów, wody. Fizyczność naszego świata jest jednak taką samą uludą jak jego duchowość, bo przecież wszystko jest energią i nawet twardość diamentu czy gładkość kamienia dadzą się na nią zamienić. Wielką zaletą przedstawień Strzeleckiego jest pojawienie się tej energii nieomal w wizualnym wymiarze, tętniącej w każdej cząstce dzieła, w dokładnie rozpracowanych elementach, w konstrukcji ciała, w barwie i fakturze. Filozofia człowieka sąsiaduje tutaj z liryką istnienia, a metamorfoza kształtów prowadzi do rozmyślań ontologicznych, nieuchronności naszego losu i zatopienia w przestrzeni euklidesowej i jej wariantach unitarnych. Człowiek nigdy nie przeistoczy się w najdoskonalszy kształt kuli, nigdy nie przybierze kształtów krystalicznych, nie przeobrazi się w bryłę monolityczną – wciąż bytować będzie pomiędzy komórkową martwością a myślowym ożywieniem, stale będzie musiał dbać o podtrzymanie ognika życia, bo dookoła śmierć nie zmarnuje szansy i natychmiast obwieści światu swoje zwycięstwo. Cieleśność jest wielką tragedią ludzkiego rodu, ale też uświęceniem bytu, który musi sam siebie wyodrębnić i zrozumieć, a nade wszystko uświęcić w pracy dla ludzkości i dla samego siebie. Tylko jednostki ukierunkowane na rozwój, kopiujące podążanie pięknej rośliny ku światłu, tylko mocarze ducha osiągnąć mogą stan równowagi z naturą i kosmosem. Głębia przesłania Jacka Strzeleckiego lokuje go wysoko w hierarchii twórców totalnych, rygorystycznie realizujących ambitny program, nieustających w wysiłkach, by choć na chwilę odsłonić to, co zwykle jest zakryte, by dotrzeć do samej istoty człowieczeństwa.

Jak w ujęciach antycznych, a potem w romantycznych uwzniośleniach, w sztuce Jacka Strzeleckiego wyodrębnić można rozległe mitologizacje. Nawiązania do znanych podań o Prometeuszu, Andromedzie, Atenie, Pegazie, Minotaurze, Hydrze, do opowieści kosmogonicznych i eschatologicznych. Człowiek przybiera w nich jakąś legendarną postać, wchodzi w obręb przestrzeni mitycznej i zyskuje niezwykłą wielowymiarowość. Staje się symbolem siły i alegorią walki, zyskuje monumentalny kontekst kulturowy, stawiający go na równi z bóstwami olimpijskimi. Artysta potrafi tak upozować ciała, tak je przyoblec w tiule i świetlne refleksy, że stają się snem na jawie i niezwykle inspirują wyobraźnię. To są ewokacje przestrzenno-antropologiczne, w których ukryte jest filozoficzne przesłanie na temat naszej boskiej i szatańskiej natury, uwikłania w miliardowy system cząstek organizmu, a zarazem w przeogromne struktury kosmiczne. Tak rodzi się transcendencja, a byt staje się punktem przecięcia tych immanentnych przestrzeni, tak jak czas przechodzących przez nas na przestrzał i przenikających najmniejszą drobiną atomową. Mit generuje ciągnące się w przeszłość

ciągi znaczeniowe, a więc interpretacji tej sztuki może być wiele, tutaj staramy się tylko wskazać ogólne jej ramy, zakorzenienie w człowieku i w opowieści kulturowej, istnienie w pulsie krwi, w locie myśli podążającej ku multiplikacjom bohaterskim i anielskim. Twórca znalazł niezwykle pojemną formułę dla prac, w których sąsiadują ze sobą elementy antyczne i specjalnie upozowana archaiczność, rodzaj przyćmienia, sennego rozmycia i przeniesienia ku rzeczywistości nicowanej przez śmierć. Gdyby przydać tym dziełom muzykę, to trzeba by szukać pośród oratoriów barokowych, koncertów na trąbkę Telemanna i Haydna, ale znakomicie brzmiałyby tutaj też heroiczne tony symfonii Mozarta i Beethovena, Dworzaka i Czajkowskiego. To byłoby podkreślenie świętego gigantyzmu człowieka wykreowanego przez artystę i jego boskich atrybutów – człowieka niosącego w sobie potencjalność zbrodni i wykwintnej kreacji artystycznej, rozpiętego między przeciwstawnymi pierwiastkami swojej trudnej do pojęcia natury.

Profesor dr hab. Jacek Strzelecki (ur.1959 w Gnieźnie). W latach 1978 – 1983 studiował na wydziale malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Profesor zwyczajny Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Uprawia malarstwo monumentalne, sztalugowe i rysunek. Od 1976 roku prezentował prace swoje na kilkunastu wystawach indywidualnych i kilkudziesięciu zbiorowych w kraju i za granicą.

Jacek Strzelecki

* * *

Zamknięta w ramach obrazu,
zastygła w bezruchu,
oliwkowo - złota postać kobiety.

Kiść dojrzałych,
ociekających sokiem owoców,
upojny zapach kwiatów.

Namalowane ręką malarza – kreatora –
poety,
szukającego spełnienia i absolutu,
pełni koloru, doskonałości formy,
harmonii.

W ramach okiennych widać szarą,
zbryzganą błotem ulicę,
zmęczonych ludzi. Pada deszcz.
Ulica wyrывa nas z marzeń.

Cukierki

Nienawidziłem tych radzieckich
ambasady, którzy w pierwszej klasie
moją szkołę i dawali nam cukierki.
przedstawicieli
odwiedzili

Potężne chłopcy z odstającymi, szerokimi
a tacy milutcy dla młodych. To było na
starym mieszkaniu.
brwiami,

Upadek ZSRR nastąpił na nowym w Nowej
gdzie graliśmy w Niemca na trzepaku.
Hucie,

Nyski

Gramy w Niemca na trzepaku przed
blokiem, strzał za jeden, główka za dwa,
kolanko za trzy, słupek za pięć.
Dokładnie nie pamiętam.

A wyżej Dobrego Pasterza jadą nyski
na sygnale w kierunku huty. Patrzymy,
ale po chwili gramy dalej w Niemca na
trzepaku.

Za jakiś czas wracają na sygnale. Patrzymy,
zaraz gramy. W domu, gdy odrabiam zadania
na dzień następny i podczas kolacji
nie pamiętam, co widziałem.
ale

Noc, strzępy

bębniąca głucho noc albo śpiewająca wysoko
noc rozbita z wnętrza nocy (jako wrony?) a
wpełza w światło lamp które graniczyło
z niczym innym jak czernią –
noc (strzępy wron) obok i mała
drzazga ciszy ponad wszystkim
albo na zewnątrz
barka

Andante

niekiedy słyhać jak
rzeka nuci oczyszczalnię
prościutko
tamten brzeg
tam idzie ktoś oddalony
ktoś inny

obok drzew
być nieśmiałym
obok czarnego bzu

głowę w gniazdo z ptasich głosów
moje stopy idą prosto

niekiedy miejsce pozostaje
przez parę sekund do zamieszkania

poza powietrzem poza niczym
kadencja skargi rudzika

małe schody dźwięków
ciągle
małe schody dźwięków

tłum. Jerzy Ł. Kaczmarek

Mateusz Wabik (ur. 1975 w Krakowie) – opublikował 8 tomików wierszy, ostatni „Wewnątrz zgniezionej materii” w 2015 nakładem krakowskiej Miniatury. Wiersze i recenzje publikował m.in. w „Akancie”, „Elewatorze”, „FA-arcie”, „Nieznany świat”, „Protokole Kulturalnym”, „Toposie”, „Wyspie”. Przygotowuje wybór i opracowanie tomu wierszy Piotra Bednarskiego. Ukończył filologię polską na UJ. Wydawca fanzina „Killing Technology” o muzyce metalowej i literackiego newslettera „Nihilista Polski”. Mieszka w Krakowie.

Carmen Kotarski urodziła się w 1949 r. w Mannheim. Autorka utworów poetyckich, prozatorskich, eseistycznych. Wydała m. in. następujące tomiki wierszy: „Wolfsgedichte” (1978), „spanisches ABC. Gedichte” (1989), „ich war eine insgeheime Person” (1999). Członkini Stowarzyszenia Pisarzy Niemieckich (Verband deutscher Schriftsteller). Laureatka m. in. nagrody Thaddaeus-Troll-Preis. Mieszka w Stuttgarcie.

Jestem i nie przepraszam

„OB krew i woda” jest trzecią książką Łucji Dudzińskiej, założycielki i liderki poznańskiej (ale i ogólnopolskiej) Grupy Literycznej Na Krechę. Poetka jest także redaktorką firmowej serii wydawniczej, w której ukazał się almanach grupy oraz tomiki Doroty Nowak, Wiktorii Szumiaty, Mariusza S. Kusiona. W zapowiedziach książki A. B. Wierzbickiego i Edyty Ciszewskiej. „OB krew i woda” stanowi V tom biblioteki grupy.

Świat słów Łucji Dudzińskiej jest przestrzenny, kolorowy, pełen dynamiki. Dzieje się tutaj – aż tyle, trudno objąć, jeszcze trudniej wypowiedzieć, zapisać. Ten nadmiar, nad – bogactwo rzeczywistości i imaginacji... Zachłynać się, uczestniczyć, wpisać się, kształtować. Swoiste „rozpasanie – rozpisanie się” wyobraźni i intelektu wydaje się charakterystyczne dla pisarstwa tej poetki.

Swą nową książkę opatrzyła Łucja Dudzińska podtytułem „Zapiski z lat 1973 – 1988”. Tomik otwiera „Prolog”, zamyka „Epilog”. Każdy tytuł wiersza demonstracyjnie – prowokująco zaczynają litery OB. W tym tomiku autorka zesłała z dróg, którymi szła w poprzednich książkach. Pojawiała się rozszerzona narracja i epicki gest, także elementy fabuły i postaci grające „liryczne sceny”, wreszcie i opisy krajobrazu, obrazy natury, przyrody. Poetka nie waha się przed namalowaniem słodkiego, sentymentalnego obrazka z kotkiem (bo przecież widzianego oczami dziecka).

Naturalistyczna „szczerłość”, otwarcie się na czytelnika, bezbronne relacje z dziecięcymi i panieńskimi inicjacji... W pierwszych książkach te elementy poetyki zostały okiełznane, ograniczone ryzami doktryny przypisującej się do poetyki Awangardy Krakowskiej. Peiperowskie zdanie rozkwitające, Przybosiowe nauki na temat wiersza zwarte, w którym każdy wyraz jest jak tryb maszyny... Właśnie poetyckie realizacje Przybosia wywarły znaczący wpływ na Łucję Dudzińską. Autorka, we wspomnianych pierwszych tomikach, nie kryje tych fascynacji, przytaczając imię Mistrza w mottach i cytatach. Ale daleko tu do kopii. Poetka szeroko rozbudowuje frazy, nie szczędzi słów, wraca do obrazów i myśli, przetwarza, zmienia. Bryła wiersza nabrzmiewa, rozrasta się, jakby osiągnęła własny byt – osobowość, niezależną od autorki. Inaczej niż u Mistrza z Gwoźnicy, zalecającego konstruowanie wierszy w granicach około 20 wersów – tak, aby utrzymać napięcie, uwagę czytelnika.

Trzy linie rytmów wydają się przewijać przez wiersze książki: ciało dziecka, nastolatki, kobiety, matki. W drugim bohaterka tekstów doświadcza kolejnych inicjacji i wydarzeń „świata zewnętrznego”. Traci wiarę w bociana, św. Mikołaja, wchodzi w ruch oazowy. Pielgrzymki, Czarnobyl, stan wojenny... Trzeci motyw to dorastanie do pisania – pierwsze litery, zapiski, rymy (zapewne cudownego dziecka?), okolicznościowe wiersze na pokaz, na podziw... I osobne, osobiste, pisane w ukryciu dla siebie.

Zapiski z lat 1973 – 1988. Tę informację zmieściła Łucja Dudzińska nad spisem treści. Kusi więc by zapytać, jakiemu procesowi, jakim zmianom zostały poddane literackie pierwociny? Miast odpowiedzi, przychodzi jednak refleksja co do jałowości takiej analizy. Bo i po co? Otrzymaliśmy firmowy, autorski zapis, książkę. I ona jest tu przedmiotem naszej refleksji. Autorka jednak uchyla w dwóch tekstach rąbka tajemnicy, m.in. w „Obdukcji. Szarugi”.

„Na końcu świata – albo języka” pisała w swym debiutanckim tomie Łucja Dudzińska. Jak ongi Tadeusz Wyrwa – Krzyżański (tak, przypomnijmy tę twórczość, to nazwisko) – „wciąż się przejęzyczając”. Świat – język, ciało wiersza i ciało świata. Te równania, zrównania nietrudno tu znaleźć. I jeszcze – wiersz jak człowiek obdarzony własną psychiką, historią. Tytułowe krew i woda są nośnikami tej wizji świata – wiersza i szansą na porozumienie.

OB – odczyn Biernackiego, wskaźnik badań diagnostycznych krwi, wskazujący na stany zapalne, chorobotwórcze prowadzi w historię znanych motywów artysty dotkniętego nieuleczalnie i sztuki jako choroby. Dość wspomnieć „Garbusa” Bolesława Leśmiana czy wiersz Czesława Miłosza „Wyznanie” z cytatem w poincie „Turniej garbusów – literatura”. Ten tragiczny motyw osobowości „naznaczonej” rozwija i Łucja Dudzińska.

Jestem i nie przepraszam... czytamy w wierszu „Obwodnica – obręcz”. Jesteśmy w swym altruizmie gotowi przyjąć to wyznanie. Wdzięczni, że autorka nie zrealizowała „Kocham siebie...” zapisane w tymże wierszu, lecz obdarzyła nas książką otwartą, chwilami bezbronną, zwróconą do naszych doświadczeń, przeżyć. Być może – w kolejnej publikacji zechce połączyć warsztat, doświadczenia dwu pierwszych książek, z wiarygodnością i otwartością tomiku „OB krew i woda”?

Fragment recenzji zamieszczonej w „Nowych Książkach”, 4/2016

Łucja Dudzińska, „OB krew i woda”, Grupa Literyczna Na Krechę, Poznań 2015.

Łucja Dudzińska – poetka, animatorka kultury, wydawca, redaktor serii wydawniczej. Laureatka kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Tłumaczona na pięć języków. Autorka książek poetyckich: „z mandragory” (Łódź 2013), „Membrana. Cyrkulacje” (Szczecin 2014), „OB – Krew i woda” (Poznań 2015), „Tupanie. ze sobą po drodze” (Poznań 2016), „Miedziaki. Znalezione” (Elbląg 2016). W 2011 roku utworzyła ogólnopolską Grupę Literyczną Na Krechę. Podjęła współpracę z Literatur-Kollegium Brandenburg e.V., w wyniku czego odbyło się 20 spotkań w Niemczech i w Polsce. Od września 2016 prowadzi Fundację Otwartych Na Twórczość (FONT). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Mateusz Wabik

Poezja odpychania,

czyli o poezji Beaty Patrycji Klary i tekstach dodatkowych w tomie „Misterium solitera”

Wydane w 2014 roku „Misterium solitera” Beaty Patrycji Klary to ciekawe wydarzenie w krótkich dziejach polskiej literatury współczesnej podzielonej na zwolenników przełomu w 1989 i zwolenników kontynuacji poetyk z czasów, kiedy niezadowoleni Murzyni w Pewexach dostawali jako resztę plik bonów udających prawdziwą walutę. Skąd się ta zjawiskowość książki Klary bierze, można zapytać? Przede wszystkim z tego, że poematy prozą zajmują tyle samo miejsca, co wstęp i posłowie, a ja straszny mam wstręt do nowych książek poetyckich z przedśłowiami i posłowiami, a także notami różnych „ważnych person” na skrzydełkach. Poematy prozą Klary to zbijanie różnych dykcji zaczerpniętych z kultury wysokiej i gazet brukowych, typu nieistniejących już „Skandali” w zapisie znanym ze starożytności i średniowiecza, jak np. z „Dialogów” Platona. Nie wiem, po co to wszystko? Po co kicz rozbudowywać do niebotycznych rozmiarów? Bo o czym jest ta poezja? O upadku cywilizacji? O tym, że jest coś takiego jak nekrofilia? Odchudzanie się przy pomocy tasiecmów? Że okno życia zastępuje dziś żłobek? Jest to na pewno kolejny wariant drogi twórczej znany z dzieł Tadeusza Różewicza, tylko podany o wiele gorzej, bo nieciekawie i bez humoru, który mam za inteligencję.

Jestem pewny, że podobną książkę mógłby napisać każdy, gdyż jest pisana z punktu widzenia człowieka balansującego na granicy sztuki i kiczu. Być może autorce chodziło o parodię sztuki i być może znaczenie jej tomiku jest większe niż uważam, ale nie jest to poezja, z którą chętnie chciałbym obcować. To, że Klary wygrała jakieś konkursy, mało mnie obchodzi, przecież większość jest ustawiona. Dawid Jung piszący na skrzydełkach okładki: „poezja ta... nie unika tematów trudnych czy przemilczanych przez poetki starszych generacji” powinien zająć się śpiewaniem (bo potrafi), a nie komentować czyjaś poezję. Wybór bezwartościowych kretynizmów, którymi żywią się złaknieni sensacji telewizyjni, na temat wierszy nie jest żadną wartością poezji, gdyż ludzie robią i robili różne głupie rzeczy od kiedy zeszli z drzewa. Część z tych tematów dostaje się do kultury wysokiej, bo jest ciekawie opisana. Poemat „recycling” Tadeusza Różewicza bynajmniej nie jest wartościowy przez to, że ów poeta po raz pierwszy w dziejach polskiej poezji poruszył krowi temat, ale dlatego, że pokazał dowcipnie wielojęzyczność współczesnego świata i informacyjny jazgot, z którym się borykamy z dnia na dzień. O nekrofilii śpiewają od lat zespoły metalowe typu Slayer, czy Cannibal Corpse, więc z czego tu robić nowość, że takie zboczenie istnieje? Ba, nawet wokalista Slayera – Tom Araya zwykł zapowiadać na koncertach kawałek „Necrophiliac” (pochodzący z „Hell Awaits”) jako utwór dedykowany kobietom.

W tym odpychającym pisaniu nie widzę jednak zbyt wielkiej wartości także dlatego, że przypomina mi ono coś robione dla hecy, dla żartu, np. czymś takim było wypuszczenie przed laty przez jakiegoś wykonawcę płyty, której tytuł brzmiał „Wydałem płytę”, a w środku była płyta bez

muzyki, bo liczyła się heca z wydaniem pustej płyty, dla samego zaistnienia, czy parodiująca samo zaistnienie. Mimo że dzisiaj „z wszystkiego da się robić poezję”, uważam, że tu z tego wszystkiego jest wydana książka, ale jeszcze nie zrobiona poezja. Nie będę dogłębnie analizować i interpretować poezji Klary, bo wiele z niej znalazłbym w tekstach o późnej poezji Różewicza. Adam Mickiewicz w „Wykładach paryskich” poruszył temat ludożerstwa wśród plemion fińskich i na pewno nie przez to uznawany jest za wieszczę narodowego.

Beata Patrycja Klary, „Misterium solitera”, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014.

Katarzyna Michalewska

Mistrz i Magdalena

Alicji

„Niech pierwszy rzuci
w nią kamień...”

Ale w którą -

W tamtą –wargami
namaszczającą
martwe ciała
cieni ?

Czy w tę –bezgrzesznie
rozbieraną
w pornografii
Prawa ?

Między nimi - trzecia,
której już nie ma

zdmuchnięta
pyłem

Piszącego
piasku...?

Tadeusz Juda Żukowski

**Przed mapą Wielkiego Księstwa
Litewskiego (fragment)**

Todzi, Lili, Ilonie i Karalinie zza Niemna

I

Ejszyszki, Ejszyszki; pierwszy śpiew Adeli.
Jak kołyska –
Hołodziszki. Diczki wisienki!... Diczkańce w
kluczu modlitw

i dziedzictwo łez. Tuż, tuż – miłosiernie
zacichłe cmentarze;
Diczkańców groby nieczytelne z powierzchni
księżycy...
Rosja stacjonowała tu po obu stronach
Niemna. Jest

Litwa. I poety Kałnoberże, Niewiaża;
Szetejnie...
Stoimy przed mapą Wielkiego Księstwa w
Czesława polskim
domu i nic nie jest już nad Wisłą oczywiste.
Zgasł wiek.

II

Za Niemen ze wschodu; za Niemen z
zachodu, a słońce
We mgłach nurtu płynie... Z ognisk świtów
zamierzchłych – nuta

Plusnęła urody siostr: Adela, Wiktoria, Kazia i
Helena w perfumach wstydu... I Zosi tylko
brak. Żyje

Do dziś nad opolską Odrą. Martwą jak ołów i
rdza.
Tańczą, tańczą dziewicze głosy ponad śmierci
mostami.

Umarł Różewicz i Miłosz. Plusk rzeki z życia
wywoła
i nas. A tam: pogańskie puszcze pożywne –
jak miód (z dzikich barć).

Andrzej Sikorski

kiedy już wszystko

Janowi Majewskiemu

głębiej niż ból
kreślisz fakturę rozwijaną z pamięci
w której srebrny palec jadu kreśli
w Księdze przejście Abrahama
z dzieckiem

nie pytasz o ogień i krew
w oku

chcemy być jak pół kropli
podobni

Marek Słomiak

oczekiwanie

przyjdź już
przyjdź przez wieczoru chóry
anielskim głosem – przyjdź
z kwiatem ust pachnącym
zdaniem czystej szczerości
przyjdź już
przyjdź nieoczekiwanie
jak baśń przeszłości
wyczytująca z oczu łzę
czerwonej poświaty wiernej
miłości jak światło gwiazdy
życiodajne,
- przyjdź już
przyjdź rosą czasu spokrewnioną
z pięknem myśli uczucia
wiecznie trwającej wspólnoty
-- po prostu przyjdź

Maciej Porzycki

Odcinki

Skłonności wyrastające
z byle czego

urodzinowy dom
ukryty w talii kart

rzadko miewam gorączkę
odchodząc nie sprawię różnicy

chciałbym gotycką czcionką
wybijać czarne godziny

mam taki tik
odcinam się

Karina Stempel

Tutaj

Za oknem obwoźna piekarnia
nie mamy sklepu, choć za to zdarza się
że w ogródku zawiśnie fruczak
od razu możesz poczuć się jak w raj
gdyby doliczyć do tego brak zasięgu, asfaltu
i telewizji kablowej – miejsce wymarzone do
życia

Przyjedź, zapewniam, że choćbyś uniósł
przed światem duszę jak zastonę
która wpuszcza słońce do domu
a ono złotą igłą odkrywa tajemnicę
wieczności w śladach starych farb na ścianie
tutaj nic się nie wyda
tu zauważą tylko
że się miotasz

Z nieodbytej podróży do Chile

Z nieodbytej podróży do Chile
pamiętam wszystko. Niespakowane
walizki, niekupione bilety,
każdy nieprzebyty kilometr.

Pustynie, których nie widziałam,
smaki Południa, które ominęły
mój język. Niepoznanych
ludzi, ciało, które nie zdążyło

poczuć niczego. I ciszę. Dlatego
kiedy pochylam się nad tobą, mów do mnie
po imieniu. Chcę wiedzieć, że to
dzieje się naprawdę.

Pocztówka

Wieża z kości słoniowej. Idziemy
brzegiem rzeki, woda jest taka sama
jak gdziekolwiek indziej
Zostawiamy wyraźne ślady, wieczorem
padał deszcz. Zapewne, tak
te nieprzespane noce kiedyś się skończą
Wpatrujemy się w łódzie kołyszące mgłę
Czy nie tego chcieliśmy? Masz zmęczone oczy
kiedy mówisz: nie ma
w tym miejscu nic stałego

Karina Stempel - laureatka 4. Ogólnopolskiego Konkursu na Tomik Wierszy Duży Format (2016). Jesienią, nakładem Fundacji Duży Format ukaże się jej druga książka poetycka pt. „Noc w Nome”. Debiutowała „Rokiem Drewnianego Konia” (Wrocław 2015). Publikowała w czasopismach papierowych i wirtualnych (m.in. w „Helikopterze”, „Frazie”, „Kwartalniku Powiatu Olkuskiego” i „sZAFie”). Wiersze z „Roku Drewnianego Konia” ukazały się także w „Przewodniku po zaminowanym terenie” (Wrocław 2015). Mieszka na obrzeżach Małopolski, w wiosce, której nie sprostало Google StreetView. Lubi m.in. Rumunię, whisky, cydr i bakłażany.



Barbara Kęcińska-Lempka

Opowiadania syberyjskie

Od spotkania z Lechem Hempowiczem minęło prawie dwadzieścia lat, a wciąż pamiętam tego eleganckiego, starszego pana. Byłam wtedy reporterką „Dziennika Poznańskiego” i w niedalekich od Poznania Pobiedziskach - Letnisku odwiedziłam mojego rozmówcę. Barwnie opowiadał o przedwojennych czasach, o początkach radia - jego ojciec Franciszek był jednym z założycieli Poznańskiej Rozgłośni Radiowej. W 1939 roku Niemcy wywieźli całą rodzinę Hempowiczów do obozu przejściowego na Główniej (peryferie Poznania). Stamtąd powieziono ich, jak wiele poznańskich rodzin, do Generalnej Guberni, konkretnie do Limanowej. Franciszek całą okupację był w Limanowej tłumaczem i prowadził biuro pisania podań. Wysiedleni trwali w trudnych warunkach, czekając na koniec wojny. Nie przypuszczali, że po ucieczce Niemców wielu z nich nie wróci do rodzinnych domów, lecz trafią na wschód, do sowieckich łagrów. Oto opowiadania o tamtych czasach Leszka Hempowicza, które wtedy spisałam.

Jak aresztowałem sam siebie

Gdy przez Limanową przeszedł front, postanowiliśmy utworzyć służby porządkowe. Gdy wkroczyli Rosjanie, a wraz z nimi NKWD, od razu przyszli do mnie (byłem w służbach porządkowych) z żądaniem, bym wymienił nazwiska wszystkich członków AK. Odmówiłem, tłumacząc się, że jestem nietutejszy i nikogo nie znam. Pewnego dnia sowietci przyszli do mnie znowu, bym jako przedstawiciel służb, pomógł im załatwić pewne sprawy organizacyjne. Najpierw pytali o redaktora Śliwińskiego z Poznania, który też był wysiedlony do Limanowej. Niczego się nie domyślając (nikt nie znał jeszcze wtedy metod i działania NKWD), zaprowadziłem ich do domu redaktora. Natychmiast go aresztowali. Przy następnych nazwiskach byłem ostrożniejszy. Zastaniałem się brakiem pamięci i mówiłem o konieczności poszukania adresów w dokumentach. W czasie gdy ja przeglądałem papiery, moi ludzie ostrzegali następnych na liście, by ratowali się ucieczką.

Na samym końcu Rosjanie spytali: „Gdzie tu mieszka Lech Hempowicz?”

To jestem ja – powiedziałem. Musiałem ich zaprowadzić do własnego domu, gdzie zrobili rewizję i aresztowali mnie i ojca. W ten sposób aresztowałem sam siebie. Podobno sąsiad, zmuszony do współpracy, podał mnie jako dowódcę AK.

Jak brzytwa uratowała mi życie

Ojca wkrótce zwolnili z więzienia, a mnie wywieźli aż za Ural, do Swierdłowskiej Obłasti, razem z fryzjerem. Fryzjer nazywał się Czerniejewicz, pochodził z Poznania i też był wysiedlony do Limanowej. Czerniejewicz miał dwie brzytwy i mówił: „Zobaczysz, te brzytwy nas ratują”. Co chwilę robili nam rewizję, więc brzytwy schowałem do oficerek, między cholewy i wkładkę. Rosjanie ich nie znaleźli. Brzytwy pomogły Czerniejewiczowi w otwarciu zakładu fryzjerskiego w obozie, dokąd nas zawieźli. Zostałem jego pomocnikiem. Nigdy dotąd nie trzymałem brzytwy w ręku, a musiałem nią golić. Na szczęście goliłem tylko folksdojczów, enkawudzistów golił Czerniejewicz. Dzięki brzytwom nie musieliśmy kopać węgla i pracować ponad ludzką wytrzymałość. Po roku wróciłem do Polski. Fryzjer musiał zostać. Był lepszym fachowcem niż ja i był bardziej potrzebny. Gdy wrócił, spotykaliśmy się aż do jego śmierci. Gdyby nie on i brzytwy, być może leżałbym teraz w szybie kopalni.



Cośmy wypili, to nasze

W obozie kopaliśmy węgiel, ale nie wolno było nim palić. Po pracy byliśmy rewidowani, czy nie kradniemy węgla i szliśmy do lasu rąbać drwa na opał. W łagrze zobaczyłem na własne oczy, co to znaczy sowiecka gospodarka. Z Moskwy przyszedł „prikaz”, że w tym i tym miejscu ma powstać nowy szyb. A w tym miejscu akurat były hałdy węgla. Wszyscy więźniowie przez wiele dni przerzucali zwąły węgla w inne miejsce, by móc zacząć kopać nowy szyb. W hałdach znajdowaliśmy porzucone maszyny, zostawione narzędzia i inne dobra.

Inny przykład. Obóz miał własne gospodarstwo rolne, które miało pomóc w wyżywieniu dużej liczby więźniów. Pewnego razu przywieźli kilka wagonów ziemniaków do sadzenia. Na bocznicę wyrzucono z pociągu góry ziemniaków, przyjechał też instruktor z Moskwy i pouczył wybranych więźniów, w jakich odstępach mają sadzić ziemniaki na polach. Więźniowie podpisali protokół przeszkolenia, a gdy instruktor pojechał, zamknięto ich w szopie, zamiast posłać na pole. Przez kilka dni słyszeli warkot ciężarówek i śpiewy pijanych enkawudzystów. Gdy wyszli z szopy, ziemniaków już była tylko maleńka kupka. NKWD przepięło ziemniaki. Więźniowie otrzymali teraz polecenie, by na wszystkich polach posadzić ziemniaki tylko w jednym rzędzie w odstępach co metr. To co posadzili, pod osłoną nocy wygrzebała okoliczna ludność. Wybranych do sadzenia więźniów, trzymano jeszcze w gospodarstwie przez dwa miesiące, po czym polecono im podpisać oświadczenie, że na skutek wielkiej suszy sadzeniaki nie wykiełkowały. Taki raport wysłano do Moskwy.

Mój kolega znał doskonale rosyjski i trochę zaprzyjaźnił się z jednym oficerem. Zebrał się na odwagę i zapytał: Co więźniowie będą jedli, skoro sadzeniaki zmarnowano? – Jakoś to będzie! – odpowiedział oficer – Co się będziemy naprzód martwić. A cośmy się wódki napili, to nasze!

I „jakoś to było”. Jak przywieźli wagon ryb, to przez tygodnie na śniadanie, obiad i kolację była ryba. Potem przywieźli wagon kaszy, ale nie dowieźli soli. Rano i wieczorem jedliśmy kaszę na rzadko, na obiad kaszę na gęsto, oczywiście bez soli. Żołądek tak człowieka palił, że ludzie zdrapywali ze ścian wapno i jedli. Za złotą obrączkę kupiłem wtedy kilogram ziemniaków. Podzieliłiśmy się z kolegami. Każdy dostał po kawałku. To była prawdziwa uczta.

Płaszcz

Któregoś dnia na apelu sowieci wywołali kilkudziesięciu więźniów. Kazali nam się szybko zbierać i powiedzieli, że jedziemy na wschód pod chińską granicę. Wyjechaliśmy w jednym bydłym wagonie, na innych stacjach doczepiali następne z więźniami. Wkrótce zorientowaliśmy się, że jedziemy na zachód. Wtedy powiedzieli nam, że będziemy odgruzowywać Berlin. Naszego wagonu pilnował jeden major NKWD w długim płaszczu. Ten płaszcz wręczył naszemu koledze, który znał rosyjski i polecił, by na każdej stacji chodził po peronie z płaszczem i sprzedawał go za 100 rubli. Gdy już kolega te sto rubli skasował, z wagonu wyskakiwał major, aresztował kupującego i sprzedawcę, zabierał ruble i płaszcz. Gdy pociąg

ruszał w ostatniej chwili wyrzucił z pociągu lamentującego kupca, szczęśliwego w tym momencie, że ocalał życie. Na następnej stacji przedstawienie zaczynało się od nowa. Major zarabiał dziennie kilka tysięcy rubli, bo co chwila stawaliśmy na stacji. Do Polski jechaliśmy miesiąc. Jaki on majątek zarobił na tym jednym płaszczu!

Widziałem przez szparę wagonu

Jak jechaliśmy z powrotem, za Moskwą kazali nam się położyć na podłodze wagonu i leżeć tak do odwołania, pod groźbą rozstrzelania. Już przedtem zorientowaliśmy się, że coś się będzie działo, bo przez dwa dni widzieliśmy przy torach żołnierzy, stojących co kilka metrów. Leżałem przy szparze i przez szparę zobaczyłem trzy identyczne pociągi. W każdym składzie, w tym samym miejscu, była salonka. W identycznych miejscach każdego pociągu stali żołnierze, w tych samych miejscach wisiały takie same proporzyczki. Wyglądało to upiornie. Potem dowiedziałem się, że Stalin wracał z Zachodu swoim pociągiem i nikt nie mógł wiedzieć którym pociągiem jechał, by czasem nie zorganizowano jakiegoś zamachu. Nawet żołnierze przy torach musieli się odwrócić.

Pan Lech Hempowicz umarł kilkanaście lat temu. Nieraz wracam do jego opowiadań i cieszę się, że je spisałam. Przetrawiały.

Mariola Kalicka

Bezdech

Poplątałam dzień nocą
sen z jawą
marzenia z rzeczywistością
i ta mnie przeraża
ale kiedy przestanie...

Kiedy przestanę
- wszystko zobojętnieje
I przyjdzie jałowy czas.

Wtedy może słowo przepraszam
będzie miało wartość
lecz to – nie zmieni kolejności napięć
i zgrzeszy z piątku na sobotę,
następnie porzuci.

Zaraza toczy się, toczy
by zjednoczyć
przypadkowe, szare kamienie.

Sławomir Krzyśka

Trud i radość pisania

W 2015 roku minęło dwadzieścia lat od powołania Salonu Artystycznego w Pobiedziskach. Nawiązuje on do Salonu z II Rzeczypospolitej, który działał w latach 1924-34 z inicjatywy krakowskiej aktorki Anny z d. Schiller i dyplomaty Tadeusza Gustawa Jackowskich w ich majątku we Wronczynie niedaleko Pobiedzisk. Uczestniczyło w tych spotkaniach wielu znanych ludzi kultury okresu międzywojennego. Obecny Salon powstał z inicjatywy lekarza stomatologa Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej. Na początku istniał on nieformalnie pod nazwą „Salon nad sosnami” od maja 1995 do listopada 1996 roku. Zmienił później nazwę na Salon Artystyczny im. Jackowskich. Spotkania Salonu otwiera „Sonata księżycowa” L. van Beethovena w wykonaniu Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej. W Salonie zorganizowano ponad 160 różnorodnych spotkań z wybitnymi artystami, twórcami literatury, teatru, muzyki i naukowcami. 8 grudnia 2012 r. Salon przeniesiono do Płończakówki mieszczącej się w Palmarku w Pobiedziskach.

Z dużą uwagą i niemałą satysfakcją przeczytałem kolejny tomik wierszy pt. „Powroty” Pani prezes Salonu Artystycznego im. Jackowskich Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej, poetki związanej z Wielkopolską, historią i teraźniejszością tej ziemi. Urzekła mnie jej wielka wrażliwość, umiejętność wnikliwej obserwacji, zaduma nad cudem przyrody, postrzeganie rzeczy prostych a pięknych, które zazwyczaj uchodzą naszej uwadze. Opisy przyrody nie są celem samym w sobie, ale pobudzają do refleksji, są dociekaniami innej rzeczywistości. Nie dajmy się przy tym zwieść wyznaniu autorki, że wiersz powstaje łatwo „pisze się sam” (otwierający tomik „Głos”). To jest przewrotne stwierdzenie, subtelna ironia, o czym świadczy następujący po nim „Inny wiersz”. Mówi on o radości, ale i trudzie pisania. Pointa następnego wiersza „Pytanie o miłość” kojarzy mi się ze słynną frazą wielkiej improwizacji „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”. Chciałoby się bardziej rozwinąć tę aluzję. Interesujący jest, dedykowany papieżowi Franciszkowi, wiersz „Słowo-początek” z otwierającym utwór odniesieniem do słów św. Jana Pawła II. Ale nie można pisać samych komplementów, dlatego pytam, czy mewa może czekać na biały dym? Jan Twardowski, miłośnik Boga, ludzi a także przyrody chyba nie zgodziłby się z tym stwierdzeniem. „Skrucha” - intymne wyznanie z intrygującą antynomią w zakończeniu: *Wszystko wiem / Pokornieję*.

Wiersz „Powroty”, w mojej opinii, należy przeczytać uważnie i w tym oszalałym z pośpiechu świecie pozwolić sobie na chwilę zadumy. „Majówka” - czar dzieciństwa i majowych dni (piękne: *fletowe zofijanie wilgi*). Tylko żal kaczeńców, które giną jak dobre intencje czy dawne wspomnienia. „Fotografia” - ciekawa retrospekcja, ale *ślomiana wkładka w trzewiku* kojarzy się ze słomą wychodzącą z butów. Chyba to świadomy dysonans. „Skarbnica ciała” - wiersz wyróżniony na konkursie poetyckim. Natomiast

„Spod Papieżówki” potwierdza opinię, że św. Jan Paweł II nie ma szczęścia, by być udanie przedstawionym na licznych obrazach i pomnikach. „Po uśmiech” - mistrzowsko wycięty, jakby od niechcenia, kadr z filmu rzeczywistości, niby zwykła fotografia, która mówi *non multa sed multum*. Inny z wierszy „Znów kareta” - dedykowany Jerzemu Waldorffowi, którego młodość upłynęła w kończącej się epoce dworków i karet. I choć pozostał on wierny tradycji i istotnym wartościom, kojarzy mi się ze świetną publicystką, krytyką muzyczną i gawędą. *Tak Mistrzu / Znowu podnieś się / ze swego niebytu zapomnienia / kareta / Ruszy w drogę jak nowa...*

W drugiej części „Powrotów” znajdujący się zbiór artykułów poetki pt. „Słowa i ludzie”: „Salony w Polsce”, „Kult Mickiewicza w rodzinie Jackowskich i Śmiełowic”, „Czy palce go nie zawiodą”, „Leć nasz orle”, „Ulubiona agentka Churchilla”, „Kawałek legendy”, „Salony w Gorcach”, można podsumować krótko: więcej takich tekstów. W przeciwnym wypadku grozić nam będzie w niedalekiej przyszłości kulturalna pustynia a co ambitniejsza młodzież znać będzie np. „Pana Tadeusza” najwyżej z filmowej adaptacji. Wbrew wszelkim trudnościom trzeba robić wszystko, by nie zerwać z polską historią i tradycją literacką. Bowierni naród żyje dziełami swej kultury, a sama kultura jest właściwym sposobem istnienia i bytowania człowieka (Jan Paweł II, „Pamięć i tożsamość”).

Daromiła Wąsowska-Tomawska, Powroty, Salon Artystyczny im. Jackowskich, Pobiedziska 2015.

Sławomir Krzyśka

Złoty szerszeń – między dydaktyką a westchnieniem

Przyjęto w dawnych opracowaniach, dla ułatwienia oceny piszących wiersze, dzielić ich umownie na dwie przeciwstawne kategorie: poeta natus i poeta doctus. Nie ulega wątpliwości, że Stanisław Chutkowski autor tomiku poetyckiego „Z oddali” należy do tej pierwszej kategorii. Ale najbardziej istotny jest problem, jak to, co dla piszącego jest cenne i niepowtarzalne, przekazać „innemu”, by to przyjął i zaakceptował, a nie odrzucił. Czy zachwyt nad pięknem świata i człowieka, zadziwienie i zdumienie albo - w innych przypadkach - protest przeciw złu - mogą łatwo stawać się poezją? A może jak introwertyk zatrzymać się nad własnym wnętrzem? Jak zamienić coś trudnego do zwerbalizowania na konkret słowa. Ten wysiłek trafnie ilustruje wiersz „Słowa”. Bo słowa: *placzą, bo chcą, a nie muszą / cieszą szczerbatym uśmiechem / ciekawskie podglądają / i pytają, pytają /.../ krajobraz słów rozrzucony po drodze / część z nich odnalazłem / o niektóre potknąłem i zawstydzilem*.

W swoim dowcipnym curriculum vitae autor przedstawił zakres swych zainteresowań: „poezja, przyroda, ludzie”. Jeśli chodzi o poezję i jej muzy, to bliska piszącemu jest Erato. W jego

wierszach o miłości można dostrzec pewną ewolucję, jako że wraz z upływem czasu dojrzewa uczucie a także forma wypowiedzi. Od pierwszych, czasem naiwnych liryk („Co słysząc”, „Asekuracja”, „Dotyk”), do poprawnych lub dobrych („Cienie”, „Marzenia o poranku”, „Tylko Ty”), czasem niezwykle szczerych („A jednak”), aż do bardzo udanych („Dojrzała miłość”, „Jestem z Tobą”). Perspektywa lat dodaje emocjom barw jesieni i melancholii, ale przynosi także radość spełnienia („Zatrzymać czas”, „Dojrzała miłość”).

Spójrzmy na inne wiersze pomieszczone w tomiku. Możemy w nich zauważyć nieobce piszącemu przekonanie, że poezja jak muzyka winna łagodzić obyczaje. Ale nawet najbardziej szlachetne przesłanie i trafnie uchwycone zdarzenie trudno sprawdza się w wierszu. Cóż dydaktyka bywa niebezpieczna, o czym świadczy skądinąd arcyślusny wiersz „Nie zaśmiecać języka”. Nie w pełni udany jest „Lekkoduch”, o wiele lepszy w moim odczuciu „Zatroskany facet”. Zbawienna w takich przypadkach jest pewna doza humoru a zwłaszcza ironii, co znakomicie udowadnia wiersz „Sam z sobą”. Świadectwem już nie dydaktyki, ale szukania podstawowych wartości jest wiersz „Litania szumu”, kontrastujący z naiwną „Tożsamością”. Niełatwo jest też przekonać do swych wspomnień z sielskiego i anielskiego dzieciństwa wywołanego w wierszach „Smak” i „Pierwszy prezent”.

Tylko żmudną pracą można uchronić się przed nijakością, by po mniej udanych próbach („Trotuar”, „Bez smyczy”) *przekroczyć ziemską barierę* (cytat z CV). Bo jak autor pisze otwarcie w wierszu „We mnie”: *co wewnątrz / w duszy / umyśle / na długo zostaje / to moje*.

Wiersze te uderzają szczerością i niełatwą refleksją nad życiem, jego przemijaniem, z delikatnym przecuciem rzeczy ostatecznych. Myślę o takich wierszach, jak „Dar życia”, „Z oddali”, a zwłaszcza „Zwątpienie” i „Zrozumieć siebie”. Tego poziomu nie sięgają „Krzyk” i „Kareta” oraz „Czarodzieje czasu”. Uwagi zakończę nieodkrywczą konstatacją: dobrze jest, że nawet „w czasie marnym” nie rzucają pióra ci, których ukąsił „złoty szerszeń poezji”.

Stanisław Chutkowski, *Z oddali*, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2015.

Alicja Kubiak

* * *

Moja droga jest pusta
zaprowadzi mnie wszędzie
swym bezkresem tworzy byt
wije się i skręca
zmierza do celu
by trwać w nicości
pełnią życia

Jolanta Szwarc

Głupi Rysiu

Każda wieś, każde małe miasteczko miało swojego głupka. Nikt nie ośmielił się robić mu krzywdy. Nawet dzieciaki były niezbyt złośliwe, choć biegały za nim i prowokowały do gonitw. I gonił za nimi, wyrzucając ręce do góry i podskakując. Był inny.

W niedzielę odświętnie ubrany swoim charakterystycznym krokiem przeplatany łagodnymi podskokami szedł wśród sąsiadów do kościoła. Ręce trzymał cały czas złożone jak do modlitwy i co rusz zachodził komuś drogę, zaglądał w oczy i mówił swoje – pani, pani, Bozia, Bozia. Ręką wskazywał kościół i mówił dalej – pani, pani, Rysiu, Rysiu, Bozi, Bozi.

- Tak, Rysiu, idziemy do kościoła.

albo

- Idziesz do Bozi, tak.

A on podbiegał już do kogoś innego i zaczynał tę samą konwersację. Nie było człowieka, który by mu nie odpowiedział.

Czasami zniemacka schylał się przed jakąś młodą kobietą, chwycił ją za kolano i „pani, pani” wylatywało ptaszkiem z jego ust.

- A idziesz ty – parskały ze śmiechem kobiety.

Swoje pięć minut miał głupi Rysiu, gdy pojawiał się głupi Kaziu z sąsiedniej wsi. Wszyscy wiedzieli, że taki jest, ale był nie stąd. Rysiu i Kaziu wyczuwali się podskórnie. Nasz Rysiu był ruchliwy, skoczny, a tamten może bardziej wymowny, ale powolny. Charakterystycznie zamiatła lewą nogą po wioskowym piachu. Widok Kazia wyzwał w Rysiu aktorskie talenty. Jak pchełka podskakiwał i przedrzeźniał Kazia. Podnosił grudki ziemi i rzucał w niego, żeby zwrócić na siebie uwagę. A co, niech Kaziu widzi, jak potrafię naśladować. I też lewą nogę ciągnął po piachu, i też coś tam mamrotał. Im bardziej Kaziu się denerwował i starał się odkuśtykać, tym bardziej cieszył się Rysiu, że na oczach sąsiadów może się popisać, że taki nieudaczny jak tamten, to on nie jest. I znowu kamyk czy coś tam wędrowało w kierunku Kazia. Odwrócił się. No to Rysiu za boki się łapał i sianiał ze śmiechu. Kaziu zły też kamykiem rzucił, pomstował, wygrażał i próbował odejść. Rysiu jak kogucik przyuczony do walki podskakiwał, obskakiwał go, drażnił, wyśmiewał. Co chwila rozglądał się po widowni i jak wytrawny parodysta grał.

Widzicie, jestem lepszy.

Widzów miał do końca.

Cóż, oprócz głupiego Rysia, kina i kościoła nie było nic, co mogłoby poruszyć miejscowych. Toteż śmieli się, wstyd powiedzieć, wszyscy.

Paweł Kuszczynski

Niedosyt trwania

Nie chcę połowy,
całości pragnę.
Nie boję się przyjąć
wszystkiego, co ludziom przeznaczone.
Za światłem podąża cień,
słońce mówi dniem,
słuch nocy towarzyszy.
Miłość jak twarz kobiety,
zwrócona w stronę natchnienia,
nie zdoła jej pomieścić wiersz.
Świat się zmienia
z niewiadomych przyczyn.
Za oknem zatrzymało się
zakłopotanie.
Zaśniły mi się te słowa.
Próbuję smak odnaleźć.
Czas igra z życiem.
Na drodze zostawiony jestem.

Kalina Izabela Ziola

Na ciemnym strychu

Jackowi Strzeleckiemu

na ciemnym strychu
obrazy usypiają pokryte kurzem
złocenia ram połyskują
odbitym światłem świec

blade twarze z portretów
mają martwe oczy
i zaciśnięte wąskie usta

czy moja twarz
odbita w lustrze czasu
będzie wyglądać
tak samo?

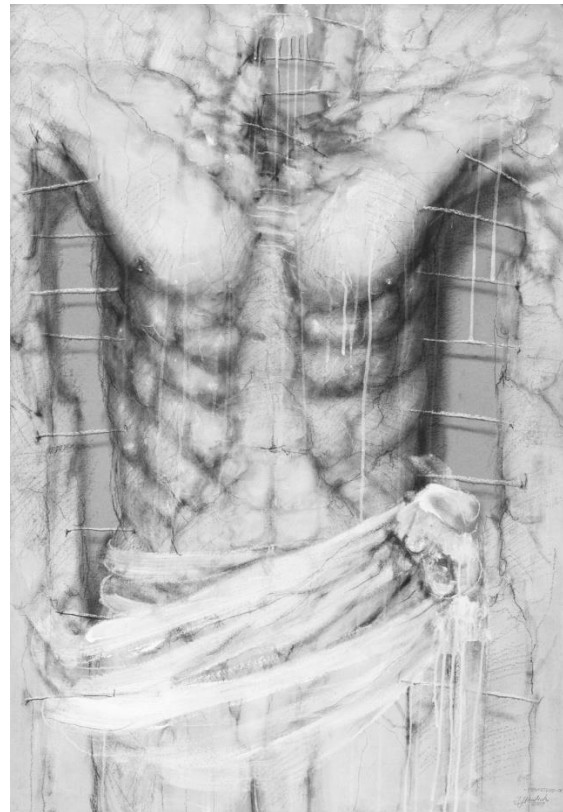
Mirosława Poncyliusz

Mamie

Dlaczego tu siedzę bez ciebie
- nie mam już dokąd pójść
a nie chcę tam - tam nie czuję
jak twoja ręka drży

Tam wiatr zamiata liście
opasała mgła i pył
- to nie jest miejsce dla ciebie
Tam jest ciebie najmniej

Nie to co tu przy stole
gdzie nasze historie się działy
Choć my już milczymy
mówią one



Joanna Rzeszotek

Szamanka

wylewa srebro w prostokąt podłogi
- nie kończy żadnego z kroków
- pociera liść
wyciąga rękę – zdiera skórę z płomienia
(syknał tylko)

w piersiach wody gasi dłoń

Zdzisław Czwartos

Ekstaza

deseń kwiatka
 żółtoczerwonego
ośniony oknem słońca
 zmartwychwstał
karmiony melodią
 rósł i rozweselał
mój piątkowy poranek

Stanisław Romaniuk

Pogoda jesieni

To było dawno,
czas taki młody,
hasał jak żreback, co zbiegł ze stajni.

A jest,
jak portret rudych kasztanów
w ścianie pamięci.

Jak pasmo ścieżki
pośród zbóż płowych,
którędy biegłaś śmiejąc się głośno.

Dawno? Czy teraz? Znika w niebycie,
lat, które zbiegły ledwie przybiegły,
drogą splątana bardziej niż życie.

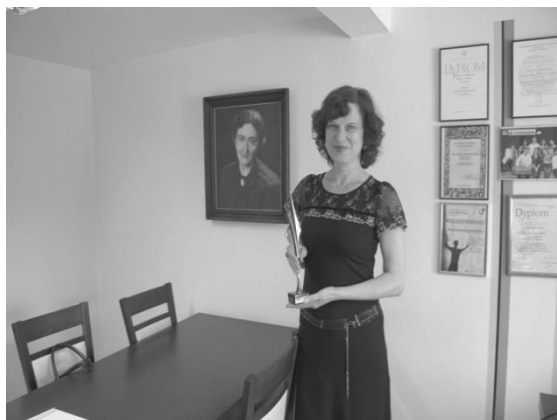
Posiedźmy chwilę,
na uczcie wspomnień...
Pamiętasz? Wtedy, tamtego lata...
A dzisiaj jesień, taka pogodna.

Agnieszka Mąkinia

* * *

Lubię centymetr
nad ziemią
perspektywą
lepiej
słyszalne są
myśli.
Nie obcuję
z bojaźnią
spadania,
odległe
napuszenie
zdań.
Z traktatów
jałowej
filozofii
zmywam się
do ciebie...
po niebiesku...

O Złote Pióro Iły



Edyta Kulczak

nie smuć się maleńka

nie obchodzi cię przecież że tysięcy lat
świecących dalej
zderzają się właśnie planety gaśnie gwiazda
gęstnieją

czarne masy energii
z perspektywy Proksima Centauri Betelgeuzy
czy nawet Księżyca nikogo nie obchodzi
że makami zakwita twój uśmiech
odszedł tata rozwiązałaś zadania w konkursie
a mama tworzy filozofie że cieszy się gdy
płacze

bo jesteś
z perspektywy Proksima Centauri Betelgeuzy
czy nawet Księżyca
nikt na to nie patrzy

Stanisław Chutkowski

Butonierka

pamięci Kazimiery Iłakowiczówny

gai się zielenią
prószy ciepłem wspomnień
pachnie uczuciem

laski konwalii
rozkwitają wierszem
rozstrojonym w białe koraliki

przytulone do piersi
są modlitwą
ukojeniem

szczęśliwi ci
którzy noszą w butonierce
pamięć

na Gajowej zawsze wiosna

Małgorzata Myłka

jedność z sobą

szukam siebie w sobie
czuję, że jest jeszcze
gdzieś głęboko we mnie
biała kartka
mimo tysięcy nocy
czekam
na zapisanie we mnie nut muzyki
co otwiera sezam
wierzę w palce co grają nie widząc nut
i śpiew rozbijający kryształ
chcę się rozpaść na miliony
wibrować każdą drobiną
stopić się, zatopić
obudzić i wiedzieć...

Trzydziestu poetów stanęło w dniu 12 maja 2016 roku do pierwszego turnieju wierszy o Pióro patronki Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy im. Kazimiery Iłakowiczówny w Trzciance. Precyzyjniej mówiąc, konkurowały teksty, bo organizator zgodził się na czytanie wierszy także tych twórców, którzy do Trzcianki nie dotarli. Piszę o „czytaniu” nieobecnych, ale były to raczej występy recytatorsko – aktorskie wysokiej klasy, bo nie od parady, od lat mówi się o „trzcianeckiej szkole słowa”. Nie dziwi więc udział w Konkursie finalistów, laureatów ogólnopolskich konkursów recytatorskich. To zasługa nowego dyrektora trzcianeckiej księgarni Włodzimierza Ignasińskiego, który swoją poprzednią pracą w tutejszym Ośrodku Kultury stworzył zastęp młodzieży brylującej na recytatorskich konkursach. Pan Dyrektor ma także za sobą inne sukcesy: nagrody za swe monodramy i młodzieńcze występy w konkursach recytacji.

Jury w składzie: Jerzy Grupiński – przewodniczący, Zuzanna Przeworska, Jan Janusz Tycner, przyznało I nagrodę Edycie Kulczak za wiersz „Nie smuć się maleńka” (rzeźba w brązie Kazimierza Rafalika „Pióro Iły” oraz siedemset złotych).

Wyróżnienia (bony po 50 zł) otrzymali: Stanisław Chutkowski, Bartosz Jabłoński, Mateusz Kowalski, Robert Jacek Pakuła, Elżbieta Wasyłyk. Nagrodę publiczności (wartość 500 zł), uzyskała Edyta Kubiak.

Z Poznania do Trzcianki dotarli m.in. Stanisław Chutkowski i Małgorzata Myłka, której wiersz „jedność z sobą” zwrócił uwagę jury i publiczności.

Krystian Medard Czerwiński

Karl Dedecius - TŁUMACZ PAMIĘCI

Zmarły w sobotę 27 lutego 2016 r. Karl Dedecius był chyba najważniejszą postacią na ciągle ważnym i trudnym polu normalizacji stosunków między narodami polskim i niemieckim. Jedną z wielkich postaci zbliżających Niemcom obraz Polski, twórcą znanego Niemcom i Polakom „Deutsches Polen Institut” w Darmstadt, popularnego wśród polonii niemieckiej jako „Instytut Dedeciusa”. Jemu poświęciłem mój esej w listopadowym numerze „Odry”: „Pochłonie nas historia”.

(...) Czas unicestwienia to, co tokowi w naszej pamięci nie jest wygodne, ale gdy słyszy się tego Niemca mówiącego moim językiem w sposób, którego mogę mu tylko pozazdrościć, nie sposób przejść nad jego biografią do codzienności. Karl Dedecius urodził się 20 maja 1921 r. w wielonarodowym wówczas mieście Łodzi. Rozbrojenie wojsk niemieckich nastąpiło 11 listopada 1918 r. po 125 latach niewoli. W tym czasie, gdy rusyfikacja i germanizacja narodu polskiego groziła wynarodowieniem, wiele rodzin ulegało powolnej asymilacji w społeczeństwie polskim. Czyż nie tak było też z moimi dziadkami? Karl Dedecius uczył się w polskim gimnazjum, które nosiło nazwę Stefana Żeromskiego, wraz z Polakami, Niemcami, Żydami i Rosjanami. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że znaleźli się w Polsce, której nie było od kilku pokoleń, gdy przybyli tutaj ich przodkowie. Już w gimnazjum Dedecius po raz pierwszy zabrał się za tłumaczenia, przekładał na niemiecki wiersze Jana Kochanowskiego. Maturę zdawał w maju 1939 roku, wiadomość o wybuchu wojny zastała go podczas kopania umocnień na granicy polsko-niemieckiej, pod Łomżą, w polskim ochotniczym hufcu pracy. Dedecius wspomina niemieckie czołgi, które bez problemu przejechały po tych umocnieniach. Hufiec udał się w stronę Lwowa. Jednak gdy tam dotarli, okazało się, że miasto jest już zajęte przez Rosjan. Po tułaczce i chorobie udało mu się dotrzeć do Łodzi dopiero pod koniec 1939 roku. Rodzice nie należeli do zwolenników nazizmu, ojciec odmówił wstąpienia do NSDAP, jednak gdy Karl wrócił do Łodzi pochodzenie niemieckie całej rodziny zostało już zidentyfikowane przez nowe władze i stali się volksdeutsche Trzeciej Rzeszy.

Niektórzy koledzy ze szkolnej ławy musieli się ukrywać. Pod koniec 1940 roku powołano Dedeciusa do wojska.(...)

Ale ten żołnierz nie wiedział o tym, co działo się za jego plecami. Nie wiedziała o tym ogromna część społeczeństwa niemieckiego. O Auschwitz nie słyszał ani w okopach na froncie stalingradzkim, ani w niewoli rosyjskiej, dowiedział się dopiero po powrocie. Przyszło się też zmierzyć z osobistą konfrontacją recepcji jego statusu w Polsce tuż po wojnie, w latach sześćdziesiątych w Warszawie, gdy jako jeden z uczestników Międzynarodowej Konferencji Tłumaczy miał zaprezentować swoje teksty.

Obok mnie – wspomina – siedział polonista, profesor Alois Hermann z Uniwersytetu

im. Humboldta w Berlinie Wschodnim. Przed rozpoczęciem uroczystości zapytał:

- Bywa pan częściej w Polsce?

- Nie, jestem tu drugi raz.

- Słyszę, że pochodzi pan z Łodzi? Ja również. Przyjeżdżam tu dość często. Służbowo. Czy mogę dać panu pewną radę?

- Owszem, słucham.

- Panuje tutaj zwyczaj, by przed prezentacją się przedstawić. Niech pan nie mówi, że urodził się w Polsce, jest volksdeutschem i że był pan żołnierzem niemieckiego Wehrmachtu. To nie będzie tu mile widziane.

Przyszła moja kolej. Przedstawiłem się krótko: urodzony w Łodzi, volksdeutsch, polskie gimnazjum, matura w 1939 roku, potem Arbeitsdienst i niemiecki Wehrmacht, front rosyjski. Stalingrad, niewola. W zdenerwowaniu zapomnianiem o radzie znajomego.

Na sali uprzejme milczenie. Ale żadnych negatywnych reakcji.

Przeczytałem wiersz Władysława Sebyły „Pogrzebany”. Zapanowała śmiertelna cisza. Następnie – po niemiecku - przeczytałem jeszcze: „Wie wirst du denn wiedergeboren” i wtedy na scenę weszła zapłakana kobieta, objęła mnie, podziękowała i powiedziała:

- Po raz pierwszy po 1945 roku są w Polsce czytane wiersze mojego męża. I to przez kogo? Przez Niemca, po niemiecku.

Wzruszenie Sabiny Sebyłowej, żony poety zamordowanego w Katyniu musiało być ogromne. O Katyniu w tym czasie nikt nie mógł w Polsce wspominać. W wierszu „Pogrzebany” napisanym w roku 1933, ta traumatyczna wizja własnej śmierci jest tak nieprawdopodobna, że aż prawdziwa, tak w oryginale, jak w tłumaczeniu:

(...) Otoś już zwyciężony,
już przedzwoniły dzwony,
płaczliwy śpiew cię prowadzi
ku ostatecznej zagładzie
w granice nieruchomości
w te piachy niewiadome (...)

(...) Schon sind die Glocken verhallt,
schon bist du besiegt und kalt,
entführt dem Klagegesang,
zum gültigen Untergang
ins unbewegliche Land,
in nie erfahrenen Sand (...)

Władysław Sebyła został powołany do wojska w sierpniu 1939 roku, wtedy gdy Dedecius w polskim hufcu pracy kopał szańce obronne na zachodzie Polski.

Christian Medard Manteuffel (Krystian Medard Czerwiński) ur. 1938 w Brześciu Kujawskim – Debiutował w 1962, a od 1979 do 1981 jego twórczość publikowano w drugim obiegu. Po stanie wojennym wyemigrował do Niemiec. Wiersze i utwory prozatorskie publikowano m. in. w „Poezji Dżisaj”, „Akancie”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Odrze”, „Zeszytach Poetyckich”, „Gazecie Kulturalnej”, także w Niemczech i prasie polonijnej. Członek niemieckiego stowarzyszenia literackiego Else-Lasker-Schüler-e.V.

dr Agi Bali

Głosy z oddali

W kwietniu 2016r. mieliśmy okazję obejrzeć wystawę obszernych fotografik Andrzeja Maciejewskiego w Salonie Sztuki „Kreatura” przy ul. Chwiałkowskiego 14/5 na Wildzie w Poznaniu. Co i jak zmieniło się w artystycznym porządku i fotograficznym świecie – w twórczości Andrzeja Maciejewskiego? To pytanie o zmiany w sztuce – artyście – galernika i animatora zdarzeń kultury – Andrzeja Maciejewskiego, czyli jakie nowe walory zaprezentował na swej autorskiej wystawie? Odnosi się wrażenie, że na pierwszy plan wysuwa się niewątpliwie jego zdecydowanie większy i silny nacisk na autorefleksję i autokomentarz wewnętrznej przestrzeni tychże prac w zakresie rozbudowanej formy fotograficznej, inspirowanej pejzażem – światłem – horyzontem – człowiekiem – sobą.

Twórca posługuje się teleobiektywem 300 do 500mm, fotografując z bardzo dużej odległości i z wielowymiarowym dystansem wobec własnej obserwacji dalekich krajobrazów i horyzontów. Sam często przebywa na otwartym, naturalnym planie natury. Na wystawie pokazuje widoki z Gór Świętokrzyskich w formie falujących, opływowych linii – fragmentów pól, krętych dróg, ludzkich siedzib, domostw człowieka. Ale prezentuje również odległe ślady, oddalone o kilka kilometrów horyzonty (wykonane teleobiektywem 1600mm), pokazując widoki rozżarzonych powietrzem przestrzeni Zatoki Gdańskiej z odległej Jastarni. Artysta, jako uważny obserwator natury i jej żywy, plenerowy uczestnik – do tej pory pokazywał w zasadzie równie ekwiwalentne pejzaże już wcześniej. Ale tym razem autor prezentuje horyzontalną kompozycję z ciekawą tonacją barw – w głębokich szmaragdach i kobaltach w kontraście złoto - białej plaży, czy też tafli roziskrzanej wody. Pojawiają się też żółcienie, jaskrawe i ciepłe zielenie łąk i pól... A to wszystko skonstruowane i oparte jest o przeżycie własnego, osobistego sztafażu – zanurzenia człowieka w naturze i określanie własnej indywidualności. To tym samym – ukazanie środowiska ludzkiego, które próbuje oswajać i obłaskawiać nieprzejeźdną naturę i ten – nie inny, niezachwiany pejzaż, jego siłę – poprzez swoją, człowieczą elementarną pracę.

Fotografik pokazuje ślady ludzkich rozmów, pracy i narzędzi – ich odgłosów, które się pojawiają, milkną, nakładają się w odległy gwar, toną w zbożu i polach lub zanurzają się w toni morza, bryzy, mierzei, bądź laguny. Zatem, co takiego poruszyło nas, jako widzów tej wystawy? Jest to z pewnością ukazanie człowieka w jego egzystencji, zarazem dialogu z dominującą naturą i nim samym. Artysta także zapytuje o naszą świadomość i jednocześnie nieuniknioną samotność każdego, każdej z nas... Fotografik ujawnia relacje często dwóch osób, jako klasyczny sztafaż i pytanie o trwałość i ulotność naszego życia. Artysta zdaje się mówić: „To tylko chwila – to iskra, która minie

i odejdzie” – tyle znaczą nasze starania o dobre, godne życie wobec bezkresu śmiertelnej ale też niepowtarzalnej natury. Natury, tej która się bezustannie zmienia i przetwarza przez pracę człowieka i jest jego nikłą, jeszcze pokorną ingerencją w proces zasiewów i żniw... Rozumiana, jako ludzkie życie, zgodne z naturalnymi procesami. Ale to wszystko może nie było by tak sugestywne i przemawiające do wyobraźni widza, gdyby nie muzyka towarzysząca – utwór na głos i orkiestrę – z barytonem – solistą: Jerzym Artyszem pt. „Głosy z oddali” – skomponowaną przez Tadeusza Bairda w 1981 roku. Zatem właśnie owa trójca: tekst, muzyka oraz obraz stanowią syntezę i całość. Trzeci element – wizualny – został rozwinięty przez fotografię Andrzeja Maciejewskiego w sposób silny, mocny, zarazem nostalgiczny i pełen refleksji.

Ujawniona indywidualna myśl i narracja prac autora mimo wszystko wypracowuje u widza analizę dzieła i pytanie o własny sposób przeżywania chwil życia. Mam na myśli – widza – obserwującego wystawione fotograficzne pejzaże, ale będącego jednocześnie w miejskiej, klimatycznej galerii. Dlatego owa głęboka i wrażliwa sytuacja dotycząca „emocjonalnego i egzystencjalnego zatopienia w naturze samego człowieka” – ukazuje złożone zadania wobec samego siebie i własnego życia w obliczu niezawisłego kresu swego istnienia na ziemi...

Andrzej Maciejewski przygotowywał swoje prace w ramach twórczych poszukiwań w ciągu ostatnich dwóch lat – 2014 i 2015. Można zauważyć staranne opracowanie kompozycyjne planów ogólnych, jak i dbałość o szczegóły i detale tychże pejzaży – fotografik. To już nie tylko twórcza adoracja dla natury stworzonej, to nie tylko pean zachwytu dla świata... Tym razem to jest również pytanie o ukryty sens cierpienia i ludzkiego wymiaru doczesnej wartości życia – nadawania mu sensu i odnajdywanie wspólnoty z drugim człowiekiem. To również spotkania z innymi ludźmi, którzy czują podobnie, choć i tak zawsze inaczej. Postrzegają świat silnie, jako głębokie przeżywanie, zanurzenie w bycie i własnej „wsobności” – w ulotności czasu...

Zygmunt Dekiert

Interpunkcja przeżywania

Trwasz kropką powagi
w naiwności obietnic
Przecinkiem bałamutnym
w rozwiniętym zdaniu pragnień
Gardzisz wykrzyknikiem przemijania

Dla ciebie
uciekam w ciszę wiersza
wielokropkiem marzenia

Danuta Bartosz

Cienie wieku

Poznać mędrców?
nie znam siebie

Skruszyć skały?
boję się piasku pustyni

Dogonić
uciekające krajobrazy?
nie widzę miejsca
obok

Utracone
przestrzenie
jak wilcze ślepie
pokryte bielmem śniegu

Pogasły
na zawsze

Stanisława Łowińska

Via Antica

Na via Antica
spotkałam Wenus
w milczeniu
ukryła piękno
Powiedz
jak żyć bez słowa
w świecie
pędzącego na oślep
szalonego
krzyku

Brygida Mielcarek

Oczekiwanie

Ratujesz umarłe wiersze
Hodujesz w sobie radość
Pytasz siebie z człowieczym strachem
gdy mówią: „z prochu powstałeś i w proch
się obrócisz”
Kulisz się w sobie i myślisz
podobno wiesz
Jednak jesteś opakowaniem dla duszy
Bo ty – to właśnie twoja dusza
Do tych dwu ciał jak Anioł
przytulone jest ciało

Stefania Pruszyńska

* * *

Codziennie jak feniks
Z popiołów w skrzydła
Nad bezduszną symfonią
w szarych płaszczach zegarów
płomienie wzniesłam
i karmię w przestrzeniach
Wolna i zwycięska z tęsknoty
za nieodgadnioną przystanią
w ciepłe żywego tętna słońca

Żeby jeszcze raz w popioły
Nową kołyskę pod księżycem
utkaną z jedwabiu i luster
i czarnego oka kosmosu
z pytaniem zapłodnionym
ciszą od dobrego Boga

Stanisław Szwarc

Ze stoickim humorem

Podejrzliwie odnoszę się do poezji filozoficznej. Ciągłe mi się wydaje, że dla filozofii odpowiednią formą jest traktat, rozprawa posługujące się specjalistycznym językiem. Nie zmienia to faktu, że każdy w swoim życiu uprawia jakąś filozofię, czasem nawet nie zdając sobie sprawy ile jest w nim z Diogenesa, ile z Seneki, a ile z Epikura.

Wiele wierszy Jolanty Skamarskiej zawartych w tomiku „półgłosem” można by skwitować cytatem z Marka Aureliusza – „Nie chluba jest uciec przed śmiercią, lecz uśmiechnąć się gdy i ona się do ciebie uśmiecha.” A więc stoickie przyjmowanie tego, co los niesie, zaprawione sarkastycznym humorem. Ale jak wyrażonym! Sarkazm jako najwyższa forma ironii wymaga szczególnych środków wyrazu. Przykłady?

*Nie ma tego złego co by nie wyszło /
i wyszło. / razem z dobrem.*

Żyję w świecie oksymoronów.

*Wieczorem tulę się do ściany / niczym się
nie różnimy / obie zimne.*

*Usiadłam w fotelu / jęknął jak stara
dziwka / w przeciwieństwie do niej / to był
szczęśliwy fotel.*

Bez tej ironii nie dałoby się tak gorąco erotycznie napisać o śmierci jak w wierszu „wiem że wrócisz”.

*pękło na chwilę niebo zobaczyła inny świat
nie spiesz się stąd widać lepiej
powiedzieli*

rośniesz i wyzwanie
wślizgujesz się w ciało

szepczą twoje imię
krzyczą moje
a w nadgarstki wraca tętno

uparta suko
usta w usta jeszcze nie dla ciebie
choć kazali się dzielić
zdążę nadać sens znaczeniom
nim razem przejdziemy granicę

wiem
że wrócisz

Warto zauważyć, że jest on poprzedzony czymś w rodzaju motto, choć lepiej pasowałby tu muzyczny termin uwertura – krótki tekst napisany przez samą autorkę, który wprowadza w klimat właściwego utworu. Takimi wstępami opatrzone są wszystkie wiersze

Nie da się jednak bez przerwy trzymać fasonu.

Po stoickim wyznaniu w wierszu „nim życie oprze się o horyzont” – *dotykam odczytuję mądrość drzewa / porę odchodzenia, pojawia się*

wahanie i bunt przeciw życiu, które okazuje się pułapką – „kiedy dzień się kończy” .

Człowiek jest osamotniony, bo „*nawet Bóg ma numer zastrzeżony*”

Znów wraca praktyczne, zdrowo-rozsądkowe podejście do spraw ostatecznych. *Segreguję śmieci / przecież życie musi być / uporządkowane.*

Kiedy, jak powiedział Marek Aureliusz, „śmierć się uśmiecha”, można z nią nawet pogawędzić o życiu i ze spokojem stwierdzić – *jutro wyjdzie w pole / zatrzyma wiatr i wróci / do garści ziemi.* Potem „czas wrócić na swoje miejsce” i wziąć się w garść. *Jutro upiekę chleb i otworzę drzwi / kiedy przyjdiesz // tylko nie zdradzaj swojego imienia / i nie pytaj o moje / definiowanie nie oswoi.*

Nazywanie, które zwykle porządkuje, oswaja świat, tym razem zawodzi. W tym jednym przypadku nazwa, nawet konwencjonalny obraz pani z kosą nie wystarczają. Zawsze będziemy stawać przed Nieznajomą. Mimo to przeczuwamy, że dobrze byłoby choć trochę oswoić się z jej widokiem. Stąd pewnie pojawia się w jednym z wstępów do wierszy stwierdzenie – *nie noszę sukienek / nocami przymierzam / śmierć.*

Właśnie noc jest scenariem tych rozważań, wahań rozterek kończących się czasem wcale nie wzniośle – *Glupia // nie myśl o wiośnie / kiedy życia jak na lekarstwo / trzymaj się faktów // czas na show, a czasem heroicznie – zdejmuję obole z oczu / pokonuję miłowe kamienie nocy.*

W takich trudnych momentach nawet poetyckie słowo może zawieść. To prawda, że można schować się jak w wierszu „nieużytki”: *pukam i opukuję / wydrapuję serce / chowam za parawanem słów / twardych niewygodnych // nikt nie zobaczy / że jest miękkie.*

Czasem jednak wydaje się, że wiersze to tylko *zapychacze czarnej dziury, bo słowo było u Boga / lecz ewangelista / nie jest poetą.*

Odrębną część tomiku stanowią teksty o szerszej, ogólnoludzkiej tematyce – skierowane ku wykluczonym, którzy w tych tekstach pięknieją, stają się jakby bardziej ludzcy od nas i tylko wiara poddawana jest próbie, gdy *zamyślam się nad bogiem / ubywa go // z każdą bezsensowną / śmiercią.*

Paradoksem jest, że w wierszach o tak ponurej tematyce tyle jest urody. Dlatego wypadałoby zamknąć ten tekst tak jak się zaczęło, cytatem z Marka Aureliusza:

„Straszną jest rzeczą, kiedy dusza zmęczy się życiem szybciej niż ciało.”

Autorce takich tekstów to z pewnością nie grozi.

Jolanta Skamarska, „półgłosem”, Wydawnictwo Diecezjane w Sandomierzu, 2015.

KOŁO - ARENA – MIT*(fragmenty)*

Corocznie, w ramach obchodów ku czci patrona Gniezna – Św. Wojciecha, do miasta przybywały tłumy pielgrzymów z całego kraju. Miasto tętniło życiem. Wielki jarmark odpustowy elektryzował całą dzieciarnię i kazał jej oczekiwać z utęsknieniem na ten właśnie dzień, jeden z ważniejszych w roku. Wyrastały wówczas na rynku stragany, do miasta ściągali handlarze dewocjonaliami, tanimi zabawkami i balonikami. Ruszały w ruch „koła szczęścia”, a co najważniejsze ruszała karuzela w objazdowym wesołym miasteczku.

Był to dla mnie niezwykły, zaczarowany świat. Rodzice wsadzali mnie na pomalowanego, drewnianego konia w przepięknej złotej uprzęży i rozpoczynałem podróż. Pokonując w swoim mniemaniu ogromne przestrzenie mijałem drzewa, domy, setki ludzi, setki twarzy...

I nagle karuzela zatrzymywała się, a ja wysiadałem w miejscu, w którym czekali na mnie rodzice. Cały mój ówczesny świat zataczał wielki krąg, powracając do punktu wyjścia.

Jakaż magiczna moc tkwiła w owej symbolicznej podróży po okręgu, tej pozornie niekończącej się drodze... I jeszcze człowiek, który obsługiwał tę całą maszynę, puszczał ją w ruch i zatrzymywał... twarzy nie pamiętam.

Jawi mi się dziś na kształt mitycznych Mojr, córek Zeusa i Temidy: Kłoto snującą nić życia, czuwającą Lechasis i nieubłaganą Atropos, która tę nić przecina...

* * *

Symbolika koła jest bardzo bogata i różnorodna. Koło jest symbolem Kosmosu, nieskończoności i egzystencji cyklicznych. Cykliczność przyrody, jej nieustanne odradzanie się i zamieranie, następujące po sobie pory roku, cały cykl wegetacji i ruch słońca po niebie – wszystko to zawiera się w symbolice koła jako syntezie sił kosmicznych i przemijania czasu.

Koło jest symbolem Boga, praformy i wieczystego prawa. Występuje jako symbol w wielu religiach i wierzeniach ludowych. Wyrysowane lub ułożone z kamieni koło, krąg, stawał się obszarem sakralnym. Jako forma idealna stanowiło obszar ochronny, zamknięcie chroniące przed zewnętrznym bezkształtem chaosu, dające magiczne bezpieczeństwo każdemu, kto znajdzie się w jego wnętrzu.

Chroniło domostwa i miasta. Broniło przed intruzami, nieprzyjaciółmi, urokami i demonami. Przedmioty w kształcie koła takie jak obrączki, pasy, bransolety spełniały i spełniają do dziś rolę amuletów i talizmanów zapewniających bezpieczeństwo, stałość, ciągłość uczuć. Jednocześnie zakłętą, zaczarowaną krąg, „błędne koło”, symbolizowało jako idealne zamknięcie sytuacji bez wyjścia. Nie można się z owego okręgu wydostać bez znajomości odpowiedniego zaklęcia – klucza. Do dzisiaj używamy określeń typu „krąg znajomych”, „krąg zainteresowań” itp., obrazujące przestrzeń, w której przyszło nam żyć i pracować.

Lingwistyczny akrobata

Sebastian Nowak – poeta urodzony w 1974 r. w Gnieźnie. Początkowo zamiast strof wierszy tworzył wymyślne, piętrowe torty i egzotyczne smaki ciast jako cukiernik. Był także w swoim życiu technikiem dentystycznym, serwisantem sprzętu ogrodniczego i grafikami komputerowym. Wiele lat życia pokonał w rytmie tańców latynoamerykańskich, pracując jako instruktor tańca. Debiutował w klubowym piśmie „Protokół Kulturalny” w roku 2000 - zagadkowym cyklem krótkich, pełnych ekspresji wierszy, dzięki którym został laureatem wielu nagród literackich. Od tego czasu stara się poznać lingwistyczne możliwości języka polskiego. W roku 2002 otrzymał dyplom za twórczość poetycką w kategorii debiutów Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie APAJTE. Wiersze publikował m.in. w piśmie "Słowem i Kształtem", „Arkuszu”, almanachach ogólnopolskich konkursów literackich i plastycznych. W roku 2003 zdobył pierwszą nagrodę w konkursie na reportaż prasowy „Być człowiekiem”. Pojawił się także w almanachu „Arka” (2004). Swoje relacje z kapryśną, nieco rozwiązańską muzą poezji, wyjawia w wierszu „Uzależnienie”: *jestem dilerem wierszy / mam niepublikowane teksty / stoję w ciemnej bramie / prawie się poślizgnąłem / na twoim / głodzie słowa / tu nie ma / przebac // chcesz działkę / porządnej liryki?*

Twórca od lat publikuje nietuzinkową poezję lingwistyczną na łamach „Protokołu Kulturalnego”. Jego poezja znalazła się w chińskim piśmie „The World Poets Quarterly” oraz angielskim wydaniu słownika poetów – „A Dictionary of Contemporary International Poets” z roku 2010 i 2013, wydanym przez „The Earth Culture Press”. Pomysłodawcami przygotowania tego wydawnictwa jest Choi Lai Sheung i Zhang Zhi. Teksty poety tłumaczono na język angielski i chiński. Jest on również autorem ponad pół tysiąca haseł oryginalnego, autorskiego „Słownika wyrazów Bbiskonaśladowczych”. Oto ich mała próbka:

aktorka – nagie zdjęcie ssaka wodnego
 album – kolejny zamach pana Capone
 balustrada – szlak wytyczony przez imprezowiczów
 barak – knajpa kombatantów
 Brytyjczyk – zziębnięty grubasek
 doborowy – gajowy idący do pracy
 dokumenty – portowe menele
 dyskoteka – archiwum ortopedyczne
 dyspensa – oto angielski grosz
 fontanna – tancerka z wyższych sfer
 garbus – kuchnia polowa
 ginekolog – nieszkodliwy dla środowiska alkohol
 kanciapa – prasowanie
 komar – zjawa drobiowa
 komis – piękność w kurniku
 komiwojażer – wesoły posiłek żołnierza
 koniczyzna – to, czego dokonały wierzchowce
 koparka – pływająca pogłębiarka
 koper – sześćdziesięciolatek
 koreks – kogut
 kurkuma – łebski kogut

Danuta Ewa Dachtera

Kiedyś

Kiedyś napisałam dla Ciebie wiersz
Ciepły i miły
Lecz dzisiaj już go nie pamiętam
Szkoda: Mężczyzno mojego życia,
wiecznie uśmiechnięty.

Przepisując z kartonu od pizzy

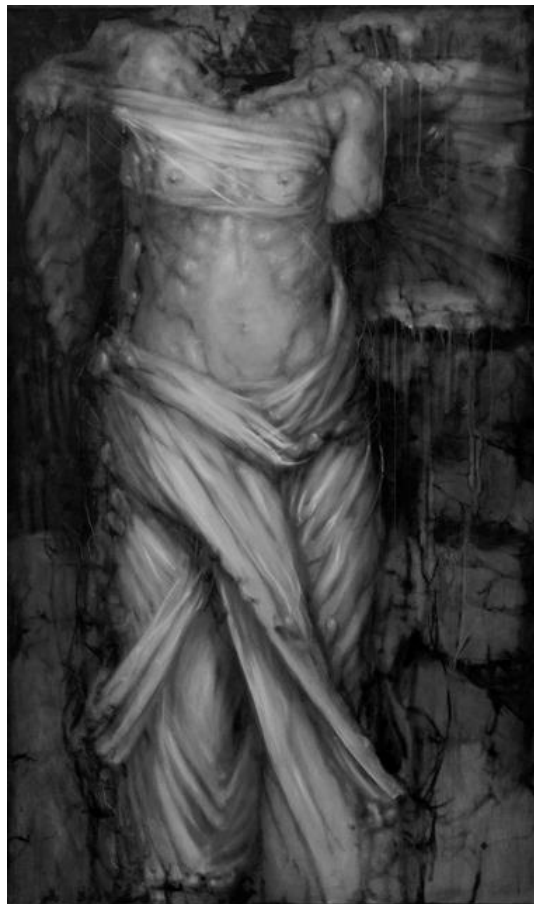
Czego doświadczam?
Zmęczenia
Zmęczenia nóg zmęczenia prozą
Zmęczenia nami.

A może więcej...

Może jest coś więcej niż słowo?
Może tym więcej jest pamięć?
Pamięć po nas,
pamięć o tych co odeszli,
pamięć w naszych sercach,
głowach, w całym ciele.

Katarzyna Michalewska

Opisywać czy mówić do rzeczy czule, po imieniu. Okazuje się, że można połączyć jedno i drugie. W debiutanckich wierszach Danuty Ewy Dachtery „kruchość ogarniająca ten wszechświat, z którego rodzą się pustynie i wszelkie pustynne ścierwo” (P. Fedorczyk), skontrapunktowana zostaje z kobiecym czułym ujęciem kruchości, ułomności i przemijalności, jako czegoś wartego dostrzeżenia i ocalenia w słowie. Taka postawa poetky wiąże się być może z biografią zawodową autorki - psychologa, nauczycielki pracującej z osobami z niepełnosprawnością. Poetka buduje swoje przestrzenie spotkania z drugą osobą, podobnie jak nawiązuje się relację terapeutyczną, cierpliwie, z szacunkiem dla odmienności i wrażliwości „drugiego”. W tego rodzaju spotkaniu ważne są zarówno słowa, jak i „białe plamy” nie – do – po – wiedzeń, milczenie. Ważkie jest to, co wypowiedziane i co ukryte. Awers i rewers dialogu. Podobnie w poezjowaniu ważniejsza od wyrafinowanej techniki zdaje się prawdziwość uczucia, z którego rodzą się wiersze, spotkania... Zły wiersz, jak pisał Scott Peck, nie rodzi się bowiem ze złego warsztatu, lecz z braku miłości. Wiersz niczego nie wyjaśni, niczego nie rozwiąże, ale to obowiązek, jak zamiatanie ulicy – tak pokornie rozumiał swój poetycki etos Wincenty Różański. Podobnie, jako obowiązek życzliwego dzielenia się swoimi doświadczeniami z innymi (co przekażesz bliźnim?), zdaje się rozumieć sens pisania Danuta Ewa Dachtera.



W numerze wykorzystano obrazy Jacka Strzeleckiego.